

## ADAM ZACHARSKI

Dziesiąty dzień rozprawy, 21 marca 1947 r.

**Świadek** podał co do swej osoby: Adam Zacharski, 48 lat, dyrektor departamentu Ministerstwa Pracy, żonaty, wyznania rzymskokatolickiego, obcy dla stron.

**Przewodniczący:** Jakie są wnioski stron co do trybu przesłuchania świadka?

**Prokurator Cyprian:** Zwalniamy z przysięgi.

**Adwokat Umbreit:** Zwalniamy.

**Przewodniczący:** Za zgodą stron Trybunał postanowił zwolnić świadka z przysięgi.

Przypominam o obowiązku zeznawania prawdy i o odpowiedzialności karnej za składanie fałszywych zeznań. Co świadkowi wiadomo w sprawie oskarżonego Hößa?

**Świadek:** Byłem aresztowany 8 lipca 1941 r. i 18 lipca po 10 dniach pobytu w więzieniu krakowskim na ul. Montelupich wywieziony zostałem do Oświęcimia w grupie 50 osób, przeważnie członków związku zawodowego kolejarzy krakowskich i działaczy PPS. W Oświęcimiu otrzymałem numer 18 239.

Już w celi więziennej na Montelupich dochodziły nas wiadomości o okrucieństwach obozu i koledzy, którzy zostali na miejscu, żegnali się z nami, jakbyśmy [jechali] na śmierć.

Z tymi okrucieństwami miałem rzeczywiście możliwość zapoznać się od razu w tym sensie, że zacząłem się przypatrywać rzeczom, które się tam działy i w krótkim czasie uzmysłowiłem sobie, że w całej działalności i w całym postępowaniu władz obozu istnieje z góry zaplanowana metodyka z niesłychaną drobiazgowością i systematycznością, z jakiej mniej więcej znani są Niemcy. Oparłem się tutaj na następujących obserwacjach.

Każdy krok więźnia przychodzącego do obozu był z góry zaplanowany pod kątem jego jak najszybszego wykończenia. A więc więzień, który przychodził jeszcze w odzieniu cywilnym, rozbierał się w *Effektenkammer*, gdzie rejestrowano go po raz pierwszy i zatrzymywano jego cywilne ubranie. W początkach lipca 1941 r., kiedy przyjechałem do

obożu, samo podejście do rozbieralni odbywało się w ten sposób, że na odcinku około stu metrów więźniowie musieli się przedostawać do pokoju rozbieralni na klęczkach. Musieli na klęczkach czołgać się. Pod drzwiami stali oczywiście żołdacy SS-mani i to były pierwsze kije, które dostawali więźniowie na przywitanie. Po tych pierwszych uderzeniach więźniowie otrzymali ciężkie kontuzje.

Drugim krokiem była kąpiel. W kąpeli też były ofiary. W moim transporcie, w którym znajdowało się kilku Żydów, pięciu zginęło w łaźni, a to w ten sposób, że uderzono ich pięścią między oczy, w twarz czy w czoło. Więzień padał, wtedy żołnierz SS skakał mu na piersi i puszczonego z góry tuszem uśmiercano go przez uduszenie.

Po przejściu tego drugiego stopnia, kąpeli, przechodziło się do ubieralni. O ile z początku znajdowała się tuż obok rozbieralni, to po pewnym czasie przeniesiono ją do innego bloku. Blok ten odległy był o dobre kilkaset metrów. O ile chodzi o lato, wiosnę czy wczesną jesień, kiedy aura była jeszcze możliwa, to przelecenie tych kilkuset metrów nago nie kończyło się dla więźniów katastrofą. Natomiast w okresach zimowych, późnej jesieni i wczesnej wiosny, ten bieg do ubieralni kończył się pewną liczbą zapaleń płuc.

W samej ubieralni często stosowano swoiste metody, które musiały się przyczyniać do śmierci więźniów. Przede wszystkim nigdy, do 1943 r., nie dawano więźniom butów. Więzień dostawał drewniane trepy, tak zwane holenderki, o typowych holenderskich nosach, zawsze o parę numerów większe od stopy. Chodziło o to, żeby – nie mając skarpet – mógł jak najprędzej otrzeć sobie nogi. W okresach początkowych obozu cała praca odbywała się tylko biegiem. Więzień nie mógł chodzić normalnym krokiem, musiał wszystko robić biegiem. Otarcie nóg było początkiem końca, dlatego że rany nie zaopatrzone zanieczyszczały się, następowała opuchlizna, przychodziło do gangreny. Więzień jako kaleka, już samym swoim wyglądem rzucał się w oczy doktorowi obozowemu i tym szybciej ulegał swemu przeznaczeniu.

Ubranie było też jednym z tych środków, prowadzących do celu. Były to zwyczajne cienkie drelichy, bardzo często bez bielizny, a jeżeli ją dawano, to cienką, zniszczoną, podartą. O jakimkolwiek okryciu mowy być nie mogło. Z początku nie było żadnych płaszców, żadnych czapek, skarpet. W ten sposób więzień zostaje rozebrany i ubrany w ubranie więzienne.

Po przejściu na blok więzień znajduje się w sytuacji, która także nie pomaga mu wcale do utrzymania jego kondycji fizycznej. Przede wszystkim sypia na sali przepełnionej, na której przebywa 250 osób. Dwóch ludzi leży w poprzek na sienniku albo leżą w ten sposób, że tylko plecy są na sienniku, a od bioder w dół leżą na ziemi. W nocy przy przejściu do ustępu jedni muszą trącać drugich. Poza tym w nocy pełni dyżur jeden z zielonowinklowców – więźniów kryminalnych – którzy czyhają tylko na pozór, na przykład, że więzień chodzi za głośno albo za wolno, żeby go odpowiednio ukarać.

Do tego dochodzi żywienie, które jest niesłychanie nędzne, bo składa się z wodnistej zupy i bardzo małej porcji chleba. Do tego dochodzi „sport” w języku obozowym, to jest takie ćwiczenia fizyczne, które muszą doprowadzić przy tym niedojadaniu i takim traktowaniu do jeszcze szybszego wycieńczenia. Do tego dochodzą wielogodzinne apele, które więźnia też kładą na ziemię.

Jeżeli więzień to wszystko przejdzie, to na robocie czeka go znów okazja bicia przez kapo, którym jest przeważnie zawodowy przestępca Niemiec. Przestępca ten jest starszym robotnikiem, stara się on zawsze pozyskać względy przełożonych. Jeżeli to wszystko więźnia na razie nie dobije, to ma jeszcze ciągle okazję do tego, żeby znaleźć się w grobie dzięki porządkowym karom dyscyplinarnym. Te kary następowały z najbardziej błahych powodów. Znalezienie patyczka z zapałki w kieszeni, już nie mówię scyzoryka czy kciuka [niedopałka?] papierosa – to wszystko kończy się odpowiednią karą dyscyplinarną w formie pewnej liczby batów. Te baty w tym stanie więźnia, w jakim on się znajduje, przyczyniają się do szybkiej jego likwidacji.

Słowem, odniosłem wrażenie już po pierwszym tygodniu, że chodzi tutaj o zupełnie świadome i celowe połączenie, skompilowanie udręki psychicznej więźnia poprzez jego traktowanie z udręką fizyczną, że są to rzeczy precyzyjnie przemyślane i precyzyjnie – niestety – wykonane. Jeżeli ktoś był na tyle fizycznie silny, że jednak te rzeczy przetrzymywał i miał to szczęście, że go nie zabito przy robocie ani nic nie przeszkrobał, co mogło być początkiem jego końca, to jednak te siły fizyczne nawet u największych wielkoludów musiały się w krótkim czasie skończyć. Tak było i ze mną. Mogłem wytrzymać jedynie sześć tygodni. Po tym czasie widziałem, że się kończę, że moje siły fizyczne absolutnie nie pozwolą na utrzymanie się w równowadze. Pobity podczas roboty przy noszeniu cegieł, szczęśliwym trafem zanieiony zostałem do szpitala i tylko dzięki temu, że biegle władałem językiem

niemieckim w mowie i piśmie, udało mi się utrzymać w tym szpitalu. Utrzymałem się tam przez cały czas pobytu mojego w Oświęcimiu i tylko temu zawdzięczam życie.

Chcę wrócić teraz do więźnia w ogólnym tego słowa znaczeniu, który przeszedł te gradacje, o których wspomniałem. Po pewnym czasie jego kondycja fizyczna musiała się skończyć, zaczął być chory, wtedy szukał pomocy w szpitalu więziennym. Szpital oświęcimski, o którym chcę tylko krótko wspomnieć, składał się z pięciu bloków: 28, 19 i 9 to była interna, część małej chirurgii, tak zwanej brudnej, blok 20 – zakaźny i 21 – chirurgia. Więzień zgłaszał się na blok 28 do ambulatorium, ambulansu, jak to się nazywało w Oświęcimiu. Ustawiał się w kolejce, przechodził najpierw przez ręce lekarza więziennego, bo cała bezpośrednia administracja szpitala znajdowała się w rękach więźniów. Przejrzani przez lekarza więziennego wieczorem oczekiwali swego przyjęcia dnia następnego przez lekarza SS. Wtedy zaczynała się dalsza tragedia, polegająca na tym, że część więźniów, przeciętnie 60 – 70 osób dziennie, odstawianych było przy wizycie lekarskiej przez lekarza SS na bok, ich kartoteki ambulansowe były wręczane obecnemu przy tym sanitariuszowi SS *Sanitardienstgrad* SDG. Ta grupa po wizycie wracała na blok 20 i tam ją zabijano zastrzykami dosercowymi fenolu. Reszta, która się prześlizgnęła przez tę wizytę, była obsługiwana zastrzykami na miejscu, albo w wypadkach cięższych przekazywana jako chorzy, *Stationar-Kranken* do właściwego szpitala. Pracowałem tam w kancelarii, to znaczy w fabryce tych wszystkich fałszywych dokumentów, jakie na rozkaz władz SS, komendantury obozu z oskarżonym na czele były wypełniane dla powodów śmierci. Powody śmierci były następujące: naturalna śmierć, gdzie więzień zmarł na skutek swego stanu zdrowia, były wypadki śmierci osób, które zostały zagazowane, były wypadki śmierci osób, które zostały zaszpilowane, osób, które zostały egzekwowane na bloku 11. Tu z całym naciskiem podkreślam: fałszerstwo polegało na tym, że wszystkie te osoby już po śmierci przyjmowano w stan chorych w szpitalu, zwiększano liczbę chorych szpitalnych i odstawiano codziennie według pewnej normy liczbę dyktowaną i zarządzoną przez komendanturę oskarżonego. Chodziło o to, aby codzienna liczba zmarłych w obozie nie była zbyt wysoka od razu. Chodziło o to, żeby krzywa śmiertelności chorób zakaźnych, jaka w postaci wielkiego diagramu znajdowała się w wydziale politycznym obozu, nie doznała nagłych i raptownych wahań. Jeżeli chodzi o osoby zagazowane, egzekwowane lub szpilowane, to procedura była następująca: po przyjęciu ich w stan chorych już po ich śmierci sporządzana była lista zawierająca X nazwisk, przeciętnie było ich około 2 tys. Do każdego stanu apelowego, który robiono codziennie, dorzucało się z tej listy osób przeznaczonych na odstawienie

rachunkowe ze stanu pewnej liczby nakazanej przez oskarżonego. W ten sposób ratowało się nagłe zwiększenie tej krzywej. Wypadki śmierci opracowywane były technicznie w następujący sposób: każdy więzień miał swój arkusz *Fragebogen*, kancelaria szpitalna prowadziła swoją własną kartotekę całego stanu obozowego, tę samą kartotekę, jaką prowadziła kancelaria główna obozu. Chodziło o to, że wobec wielkiej liczby wypadków śmierci dziennie ze względów czysto technicznych nie można by każdego dnia biegać do kancelarii głównej dla wyciągania personaliów. Dla ułatwienia roboty te wszystkie personalia były na miejscu i pod ręką, bo liczyło się, że i tak ogromny procent nowo przybyłych musi umrzeć.

Kompletowanie odbywało się w następujący sposób: zaczęło się od tego arkusza, jaki spisywano z więźniem po jego przybyciu do obozu. Personalia dołączało się do kartotek, które znajdowały się w olbrzymich stołach kartotecznych. Cały pokój był zajęty wyłącznie przez szafy kartoteczne. To był drugi dokument. Trzeci dokument, to było przyjęcie więźnia do szpitala, względnie potwierdzenie jego wypadku śmierci przez blokowego tego bloku, z którego chory do szpitala przyszedł. Wreszcie do kompletu dokumentów dochodziła historia choroby. Tę historię choroby więźnia, te fikcyjne historie robiono w ten sposób: było czterech więźniów: Wojciech Barcz, z zawodu redaktor, Jerzy Czubak, z zawodu profesor gimnazjalny, Andrzej Mittelman, Słowak, Jakub Bistric, Słowak, którzy technikę wypisywania fałszywych świadectw doprowadzili do perfekcji. Każdy miał przy sobie książeczkę zawierającą kilkanaście, do 20 typów najrozmaitszych chorób. Korzystano wówczas z niemieckiego podręcznika Domarusa *Innere Medizin*, z którego odpisywano poszczególne typy chorób, ich przebieg i objawy. Ta liczba zgonów, która miała być podana, była rozdzielana i każdy według swego uznania wypisywał taki typ choroby, jaki mu w danym wypadku odpowiadał.

Tutaj spotkaliśmy się parę razy z usterkami. Usterki zresztą groziły katastrofą dla więźnia ze strony oskarżonego, który poprzez lekarza Wirthsa domagał się większej różnorodności w typach chorób, twierdząc, że to jest monotonne, że za dużo się powtarza tych samych typów chorób. Ja z początku sam się wyspecjalizowałem w pisaniu dwóch diagnoz, które umiałem na pamięć i przepisywałem z wielką wprawą, bo chodziło o to, żeby te 250 wypadków można było opracować. To opracowanie było bardzo szczegółowe, systematyczne, jak to Niemcy powiadali – *Grundlich*.

W opisie trzeba było zacząć od momentu, kiedy chory przyszedł do szpitala, z jaką temperaturą, jakie były objawy chorobowe, gorączka, jakie stosowano lekarstwa, jakie chory

dostawał zastrzyki. Ta historia choroby w 1941 na 1942 r. zajmowała całą prawie stronę arkusza papieru kancelaryjnego. Dopiero z biegiem czasu, jak tych wypadków śmierci było coraz więcej, trzeba się było skracać i tutaj na polecenie oskarżonego poprzez lekarza dostaliśmy rozkaz zwięzłego pisania historii choroby. Doszło do tego, że historia choroby kończyła się na kilku zdaniach, a nie zajmowała całej strony jak na początku.

Zdarzały się wypadki komiczne i tragiczne dla nas. Pamiętam, że przyszło do obozu 120 małych chłopców, dzieci w wieku od ośmiu do kilkunastu lat (12, 14) z Zamojszczyzny. Dzieci odłączono od rodziców, którzy zostali w Brzezince, a je same skierowano do obozu głównego. Wtedy pamiętam tragiczną chwilę, która omal nie skończyła się śmiercią więźnia, który wybierając diagnozę, pomylił się i temu dzieciakowi 8-letniemu jako diagnozę podał uwiąd starczy *Alterschwache*. Zrobiła się z tego ogromna awantura, komendantura zażądała dochodzenia. Jakoś szczęśliwie wykręciliśmy się. Zaznaczyć muszę, że jeden z odcinków historii choroby i wszystkich fałszowanych dokumentów szedł do rąk oskarżonego.

Oskarżony, jak już powiedziałem, niejednokrotnie za pomocą swoich organów nadawał taki czy inny kierunek pracy technicznej. Przy tej sposobności chcę jeszcze poruszyć kwestię likwidacji tyfusu plamistego w Oświęcimiu, która wyglądała w ten sposób, że we wrześniu 1942 r., kiedy tyfus szalał w obozie, dlatego tylko, że każdy SS-man bał się zarażenia (tak się panicznie bali, że nawet lekarze obozowi nie wchodzili do pawilonu na bloku 20), zlikwidowano tyfus w sposób krótki i radykalny: zebrano wszystkich chorych, którzy leżeli w łóżku, wyniesiono ich na podwórze, ale zabrano także wszystkich rekonwalescentów i to takich, którzy w ciągu najbliższych kilku dni mieli jako zdrowi wyjść na obóz. Na podwórzu między blokiem 20 i 21 zasiadał lekarz obozowy Fryderyk Entress w towarzystwie sanitariusza Klera i dokonywał ostatniego wyboru, który się zakończył tym, że wszystkich wtłoczono do przygotowanych już aut ciężarowych, wywieziono do gazu i spalono. Między innymi spalono także jednego z pomocników sanitariuszy, prokurenta Banku Rolnego w Krakowie Adama Ulmana, który pomagając koledze, który o własnych siłach nie mógł dostać się do auta, sam został z tym kolegą wtrącony do wozu.

Robiliśmy, co leżało w naszych możliwościach, aby ulżyć czy pomóc swoim towarzyszom. Nie zawsze to się udawało, rzeczywiście. Ta pomoc polegała na przeszmuglowywaniu ludzi z obozu do szpitala w stan chorych, na ukrywaniu, przetrzymywaniu chorych, na dodatkowym zaopatrywaniu w leki, a przy wybiórkach do gazu, które odbywały się co najmniej raz w miesiącu, robione przez lekarzy SS, pomoc nasza czasami była taka, że się chorych ukrywało



w kłozetach, w piwnicach, na strychu. Pomoc polegała też na tym, że przez kolegów naszych znaleźliśmy dostęp do starego krematorium w Oświęcimiu, pożyczaliśmy sobie trupy. To znaczy ten, który codziennie woził te trupy w ilości kilkudziesięciu, w drodze umowy z kolegą, które je miał odbierać, zatrzymywał sobie na wozie jedną, dwie sztuki po to, żeby te sztuki następnego dnia można było podrzucić w miejsce tych trupów, które właściwie powinny być odstawione.

Jeżeli chodzi o to, że gazowano, zniszczono śmiercią nienaturalną, wyłącznie Żydów, to jest nieprawda, ponieważ gazowano i niszczone także tak zwanych przez Niemców aryjczyków. Mogę podać dwa nazwiska, które doskonale pamiętam, ludzi, którzy poszli z całą grupą nie-Żydów na śmierć. Był to profesor gimnazjalny z Krakowa Tadeusz Szantrach, któremu ja sam pomagałem w okresie jego pobytu w szpitalu i osobisty mój przyjaciel, wiceprokurator Sądu Okręgowego w Krakowie Adam Stawarski. Stawarski pracował w kartoflarni, tam byli zajęci tylko nie-Żydzi. Umówiliśmy się ze Stawarskim, który był w złej kondycji i fizycznej, i psychicznej, bezpośrednio prawie po swoim przyjsciu do obozu po prostu zanosilo się na katastrofę osobistą, że następnego dnia ja wprowadzę go w stan chorych i ukryję w szpitalu. Nie udało się jednak tego zrobić, dlatego że tejże nocy miał dyżur, zajechała nagle ekipa, jak się później dowiedziałem, postawili wszystkich w rząd, kazano podnieść nogawki spodni i każdego, kto miał choćby lekko spuchnięte nogi, pakowano do auta i wywożono do gazu. Wśród tej partii około stu kilkudziesięciu ludzi nie było ani jednego Żyda.

Tak się zdarzyło, że w miesiącach letnich 1943 r., w lipcu i sierpniu, musiałem przejąć odpowiedzialność za całą kancelarię szpitala. Pamiętam dobrze, że było to w sierpniu 1943 r., kiedy do kancelarii przyszedł lekarz obozowy Entress, mówiący perfektnie po polsku jako były wychowanek uniwersytetu poznańskiego, syn bibliotekarza biblioteki Raczyńskich, renegat. Zostawił mnie samego w biurze, kazał całemu personelowi wyjść i między mną a Entressem odbyła się następująca rozmowa: pytał mnie najpierw, gdzie mam księgi zmarłych. Wskazałem na cały stos leżący na biurku. Entress otworzył i powiada do mnie: – A co to są za pozycje z tymi haczykami z boku? W tej chwili chcę wyjaśnić, że odstawiając z tej listy przygotowanej do odstawienia ludzi przyjętych po śmierci, żeby nie omylić się w rachunkach, odfajkowywaliśmy drobnymi znaczkami na boku. Widziałem, że Entress orientuje się w zagadnieniu, tylko nie wiedziałem, do czego prowadzi, jaki będzie wynik tej rozmowy. Odpowiedziałem mu na to, że to są wypadki chorób zakaźnych, przeznaczone do miesięcznych sprawozdań chorób zakaźnych na

użytek oskarżonego i komendantury. Ale w tej chwili pomyślałem sobie, że jeżeli Entress będzie chciał sprawdzić taki jeden wypadek w książce z analogicznym, z tym samym numerem kartoteki, to skoro na kartotece jest już pod stempelkiem wydrukowana diagnoza, będzie się mógł przekonać, że nie będzie diagnozy choroby zakaźnej, tylko jakiejś innej wewnętrznej. Zdałem sobie sprawę, że czeka mnie wielkie niebezpieczeństwo i wynikię stąd konsekwencje. Na szczęście Entress nie sprawdzał kartoteki, poszedł do drugiej sali, gdzie były stoły kartoteczne, zaczął robić próbne badania i dał mi następujące polecenie: Mam zmobilizować cały personel szpitala, kolegów i poprzez pracę dzienną i nocną wyjąć ze stołów kartotecznych wszystkie te typy, które – tutaj się zaczął zjadliwie uśmiechać – mają te „fajki”. Mam również odstawić wszystkie księgi zmarłych i cały ten materiał ma być przez żołnierza sanitariusza SS w nocy wywożony ze szpitala. To był sierpień 1943 r., data, która zapoczątkowała palenie i niszczenie dokumentów zbrodni. Tak się rzeczywiście stało. Pracowaliśmy przez kilka nocy, sanitariusz Hantel, Niemiec sudecki, był tym, który na wózku te dokumenty w nocy wywoził. Oczywiście stan kartoteczny i dokumentarny szpitala w tej chwili przestał istnieć i nie można było na nim już polegać. Zdawałem sobie sprawę, że za ostatnią kartoteką i ja też mogę pojechać na wózku, ponieważ za długo jestem w szpitalu, za dużo wiem i za dużo słyszałem. Wobec tego w porozumieniu z kolegami, przybyłem do obozu z Józefem Cyrankiewiczem i Adamem Kuryłowiczem, innymi przyjaciółmi z Belgii, Francuzem uradziliśmy następująco: zrobiono mi sztuczne zapalenie nerek, położono mnie do łóżka, żeby mnie odseparować od kontaktu z Entresse i dalszą pracę w szpitalu. Leżałem sześć tygodni. Szczęśliwie doczekałem się, że w tym okresie Entress został przeniesiony na stanowisko lekarza do Mauthausen. Po przejściu choroby, nie chcąc i nie mogąc wracać do kancelarii szpitalnej, w porozumieniu z kolegami postanowiłem wykorzystać sytuację, że na strychu tego bloku, w którym mieszkaliśmy, mieściło się archiwum. Udało mi się tam dostać w charakterze pracownika. Z początku byłem sam jeden, potem dobrałem sobie kolegów. To był pokój na strychu zrobiony z przepierzenia drewnianego i w tym pokoju znajdowały się dokumenty pośmiertne. Po pewnym czasie postanowiłem zabezpieczyć dla przyszłości, może dla dzisiejszego dnia, szereg dokumentów, które mogą być rzeczowymi dowodami w sprawie. Wybrałem mianowicie 15 kompletów [dokumentów] takich osób, o których wiedziałem, że zginęły zamordowane. Były to różne nazwiska. Było nazwisko adwokata Tempki z Katowic, profesora uniwersytetu Gieszczykiewicza, profesora gimnazjum z Krakowa Weinerja, krytyka literackiego Pugeta, było nazwisko prokurenta Adama Ulmana,



dyrektora oddziału banku w Tarnowie Turszmida, Jońca, Alfreda Stösla i wybrałem dwoje dzieci z Zamojszczyzny, jeden nazywał się Rycyk, drugi Rycaj. Starąłem się w ten sposób dobrać te dokumenty, żeby na nich figurowały podpisy, o ile możliwości, największej liczby ówczesnych lekarzy obozowych. O ile mnie pamięć nie myli, dokumenty te opatrzone są nazwiskiem lekarza Entressa w pierwszym rzędzie, dalej lekarza obozowego Kitta, Rhodego, Kleina, bodajże Mengelego, nie pamiętam już. Wiedziałem, że na bloku 11, jakkolwiek zaznaczam, że nie wszyscy, których tu wymieniałem, byli egzekwowani na bloku 11, niektórzy byli rozstrzelani na bloku 11, inni byli zagazowani, inni wreszcie byli zastrzeleni przez dowódcę obozu Aumeira w Brzezince, jak np. w tej grupie Chodorowskiej dyrektor KKO w Krakowie, ale widziałem, że niektórzy z nich byli egzekwowani na bloku 11, że blok 11 prowadził księgi osób egzekwowanych, że te nazwiska będzie można później sprawdzić, z drugiej strony jako figurujące w księdze rozstrzelanych, porównując z tymi fikcyjnymi, fałszywymi dokumentami, jakie chciałem zabezpieczyć. Przy pomocy mego kolegi Franciszka Klenki, obecnie kupca w Katowicach (ul. 3 Maja 10) uradziliśmy zamurowanie tych dokumentów na strychu w bloku. Wybrałem w tym celu miejsce w oknie, wychodzącym na blok 10 i 11 przez odpowiednie ustawienie się, żeby można było później znaleźć. Mury były niewyprawione, surowa cegła pokryta tylko tynkiem. Ustawiłem się odpowiednio na lewo w skos i na wysokości sutki piersiowej prosiłem Klenkę, który był ode mnie zgrabniejszy do tych rzeczy, żeby odbił kilka cegieł, do tego otworu włożyłem dokumenty, po czym Klenka założył je cegłami, zarzucił cementem i kurzem z podłogi.

O ile mi wiadomo, nawet wiadomo mi na pewno, oglądałem te dokumenty. Pokazywano mi w toku badania przez sędziego śledczego w Krakowie. To są właśnie te dokumenty autentyczne, które ja wybrałem i zamurowałem.

W obozie byłem do 27 października, zostałem ewakuowany do Sachsenhausen, tam odbyłem dalszą drogę do Liberacji [wyzwolenia?] 3 maja 1945 r.

**Przewodniczący:** Świadek wspominał o chłopcach z Zamojszczyzny. Czy świadkowi wiadomo, jakie były transporty z Zamojszczyzny?

**Świadek:** Nie powiem, część zostawała w Brzezince, chłopców było 120. Zamordowano ich w jednej partii 40, a potem 80 zastrzykami fenolu. Dokonał ich Scherpe. Nawet dziwiono się temu, bo Scherpe był człowiekiem ciekawym. Dzisiaj jest jasne, że te typy się spotkały na

porządku dziennym. Był spokojny, nie bił, pokazywał często fotografię żony i dwojga dzieci, zrównoważony. Jeżeli można stosować to słowo do człowieka, który nosił mundur SS, był on stosunkowo przyzwoitym człowiekiem. Kiedy on wykonał ten zabieg, nie mogliśmy się nadziwić, że się na to zgodził.

**Przewodniczący:** Czy świadkowi są znane wypadki, że oskarżony dopuścił się jakiegoś okrucieństwa lub bicia?

**Świadek:** Nie. Oskarżonego widziałem kilka razy, dwa razy jak przyjechał autem, poza tym bezpośrednio nie byłem z nim w kontakcie, jedynie adresowałem do niego wszystkie dokumenty i od niego, względnie poprzez niego otrzymywałem rozkazy.

**Prokurator Cyprian:** Składałem do dyspozycji Wysokiego Trybunału fotografie dokumentów, o których mówił świadek, dotyczące dwóch chłopców z Zamojszczyzny: Rycyk i Rycaj, Chodorowskiego, Ulmana, Turszmida i... [brak pozostałych nazwisk]. Proszę o przekazanie tych dokumentów świadkowi (woźny okazuje dokumenty świadkowi).

**Świadek:** Tak jest. To są fotografie tych dokumentów, które ja osobiście wybrałem i zaadresowałem na bloku, adresowane do oskarżonego.

**Prokurator Cyprian:** W związku z tym oskarżenie ofiarowało dowód ze świadka Głowy, jednak z uwagi na dużą odległość wnosi o odczytanie zeznania. W tomie 4 na str. 163 jest zeznanie świadka Głowy, dotyczące tych dwóch chłopców z Zamojszczyzny, gdzie świadek mówi, że ci dwaj chłopcy zostali zaszpiłowani, jak się wyraził, zabici zastrzykami.

Pytań do świadka nie mam.

**Adwokat Umbreit:** Oskarżony przyznaje, że istotnie dokonywano takich wykazów.

**Przewodniczący:** Nie ma zastrzeżeń. Według art. 307 kpk dowody te zostają włączone do sprawy.

**Adwokat Ostaszewski:** Świadek bardzo dokładnie ustalił cały szereg okoliczności. Niewątpliwie miał dużo kontaktu z wieloma sprawami i interesował się sprawami obozu, jak widać dokumentarnie. Czy z rozmów z innymi ludźmi na terenie Oświęcimia świadek słyszał, żeby Höß osobiście nad kimś się znęcał lub kogoś bił?

**Świadek:** Nie mogę powiedzieć, żebym nie słyszał tego, że Höß kogoś uderzył lub kopnął. To jest możliwe. Raczej przypuszczam, że słyszałem, natomiast nie słyszałem i nie spotkałem się, żeby kogoś spotkanego zabił. Wiedziałem, że asystował przy egzekucjach.

**Adwokat Umbreit:** Krótkie pytanie do oskarżonego. Oskarżony widział ten dokument, z którego dowód był przeprowadzony, w szczególności dokument stanu choroby i śmierci tych chłopców z Zamojszczyzny?

**Oskarżony:** Tak, to mi przedłożono w czasie śledztwa.

**Adwokat Umbreit:** Czy dokonywano istotnie takich świadomych fałszerstw?

**Oskarżony:** Tak jest.

**Adwokat Umbreit:** Na czyje polecenie?

**Oskarżony:** Ja już to wczoraj oświadczyłem, to były te zamaskowane przyczyny śmierci.

**Przewodniczący:** Świadek jest wolny.

Zarządzam przerwę do godziny 16.00 po południu.